



Anna Kiesewetter

RUDOWŁOSA

Anna Kieseletter

RUDOWŁOSA

© Copyright by Anna Kieseletter 2017

Projekt okładki: e-bookowo + AI

Korekta: Marta Bluszcz

ISBN: 978-83-8166-400-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

*W nawiązaniu do Apollinaire'a oraz Gąsiorowskiego,
który nawiązuje do Apollinaire'a.*

ROZDZIAŁ I

Stawała zawsze w tym samym miejscu, przy wejściu do metra, ubrana w skromną bluzeczkę i długą, falbaniastą spódnicę. Śpiewała niskim, ale mile brzmiącym głosem dawno zapomniane pieśni. Na ogół podróżni mijali ją, jakby nagle zrobiła się przezroczysta, nawet dźwięk nie docierał do ich uszu. A ona delikatnie uderzała w struny starej, wysłużonej gitary i śpiewała te swoje dawno zapomniane melodie.

Gdyby zapytać któregoś z przechodniów, jak wyglądała, spojrzalby na nas ze zdziwieniem i odparł, że nie przypomina sobie takiej osoby. Gdyby zrobić ankietę wśród wsiadających do metra, czy zapamiętali, co tak naprawdę śpiewała, nawet ci, którzy przelotnie słuchali jej głosu, mieliby problemy z odpowiedzią na to pytanie.

Życie przepływało tuż obok wraz z tłumem spieszącym w kierunku wejścia czy też wyjścia z metra – byle prędzej, wiecznie w pośpiechu, ze wzrokiem skierowanym pod nogi, bo przecież tak łatwo się potknąć. A najniebezpieczniejsze były zawsze te niespodziewanie pojawiające się schody. Na to bardziej zwracali uwagę niż na kobietę śpiewającą tuż obok nich swoje dawno zapomniane pieśni.

Do pudła na gitarę, które leżało otwarte u jej stóp, ktoś wrzucał od czasu do czasu kilka groszy, ale nigdy nie patrzył jej prosto w twarz. Zupełnie jakby śpiewanie, a zatem to, co robiła każdego dnia, należało do tych wszystkich rzeczy, których należało się wstydzić. A przecież nie robiła niczego nagannego. Śpiewała po prostu o zamierzchłych czasach, o zaginionych w pomroce dziejów cywilizacjach, a nawet o tych, co dopiero nadejdą, zmieniających się w swojej abstrakcyjnej powłoce, która tak naprawdę nie stanowiła niczego cennego, ponieważ każda epoka musiała przeminąć w swej chwilowej i błyszczącej chwale.

Zmieniały się pory roku, wiosna przechodziła w lato, jesień w zimę, ale śpiewającej jakoś to zupełnie nie obchodziło. Gdy robiło się zimno, a w powietrzu wirowały płatki śniegu, narzucała na ramiona gruby płaszcz z wielbłądziej wełny i dalej śpiewała, śpiewała, śpiewała. Czasem zdawała się nie dostrzegać zmieniającej się pogody. Zarówno krople deszczu, jak i płatki śniegu siały na jej ciemnorudych włosach, a przechodnie mijali ją niby beznamietna i na wszystko obojętna rzeka, bez względu na to czy wchodzili, czy też schodzili po schodach.

Słońce zachodziło o różnych godzinach, w zależności od pory roku. W lecie dzień zdawał się nie mieć końca,

w zimie szybko zapadała ciemność. Kiedy czerwona tarcza znikła za horyzontem, Rudowłosa schylała się, starannie zbierała wrzucone do pudła grosze, chowała gitarę, przewieszała ją sobie przez plecy i znikła za rogiem pobliskiego domu. Nigdy wcześniej i nigdy później. Jakby zachód słońca stanowił punkt odniesienia, nieważne, o której godzinie światło zaczynało swą wędrówkę w stronę narastającego cienia nocy.

Jej spódnica szumiała na wietrze, kiedy tak szła, zawsze w jednym kierunku. Składała się z niezliczonej ilości falban, które zachodziły jedna na drugą. I nie znalazł się nikt, kto by ją zapytał, dlaczego chodziła ubrana w takie dziwne, zupełnie niepasujące do otoczenia stroje, które kojarzyły się raczej z kostiumem teatralnym, choć trudno było ustalić, z jakiej pochodziły sztuki i do jakiego należały teatru. Musiała mieć tych spódnic więcej niż jedną, gdyż nigdy nie wyglądały na ubrudzone, choć falbanami zamiatała ziemię, po której wirowały unoszone wiatrem gazety. Niezależnie od pory roku jej strój dziwnym trafem zawsze wyglądał nienagannie, elegancko i dostojnie, kiedy tak stała przy wejściu do stacji metra.

Spódnice musiały być szyte z jedwabiu, bo ich szelest przypominał poruszające się na wietrze gałęzie. Kiedy tylko zamykało się oczy, śpiew dziewczyny zdawał się

płynąć znikąd, z jakiejś dalekiej przeszłości, i zawierał słowa od dawna nieużywane, tak że czasem trudno było zrozumieć ich znaczenie. Zakończywszy swój występ, wysoko podnosiła głowę. Wyglądała wtedy jak zjawisko nie z tego świata, niczym kapłanka albo czarownica, ale odchodziła zawsze w tym samym momencie dnia i zniknęła za rogiem, kiedy słońce chowało swoją tarczę za linią horyzontu.

Tak mijał rok po roku, ale ona nie zmieniała się wcale ani nie traciła nic ze swojej młodości, z urody, którą jednak trudno było określić, bo wymykała się wszelkim ocenom. Ludzie ją mijali w nieustannym pośpiechu, w gonitwie, w wyścigu z czasem, nie zwracając większej uwagi, jakby nie była żywą istotą, ale rzeźbą na nieznanym pomniku. A przecież żyła, choć czasem stawała się jakby mniej widzialna. Zdawało się, że utknęła w nieznanym przestrzeni, gdzie nie istniało pojęcie czasu. I ludzie przyzwyczaili się do jej widoku, ponieważ zawsze stała tam, gdzie stała. Może gdyby jej nagle zabrakło, ktoś zacząłby się nad tym zastanawiać.

Tuż nad wejściem do metra, wśród secesyjnych zjawisów jakiś dowcipniś umieścił postać średniowiecznego maszkarona. I potworek trwał tam, niezniszczalny, chyba od samego początku istnienia tej linii kolei podziemnej. A kiedy ludzie wchodzili albo wychodzili, wpatrywał się

w nich swoim nieruchomym wzrokiem, jakby stanowił jedność ze śpiewającą kobietą, jak gdyby tworzyli wizualny duet idealnie dopasowanych do siebie twórców, będących tu równie nie na miejscu i odcinających się od mijającego ich tłumu. Oboje nie pasujący do otoczenia i swojej epoki – on, nachylony nad schodzącymi i wchodzącymi po stopniach ludźmi, i ona, wyprostowana, otoczona płomieniami włosów, ze spódnicą szeleszczącą przy każdym ruchu, tworzący zadziwiającą parę tuż przy wejściu do stacji metra.

Być może, gdyby na ich drodze pojawił się artysta malarz, tych dwoje wzbudziłoby w nim niemałe zainteresowanie. Być może, gdyby Rudowłosą usłyszał właściciel studia nagrań, chciałby zarejestrować ten głos, pochodzący jakby z innego wymiaru. Ale mijali ich wyłącznie szarzy, zwykli ludzie, pospolici największą wśród możliwych pospolitością, nie zwracając uwagi ani na pochylającego się nad nimi potworka, ani na dziewczynę, której wiatr unosił i rozwiewał włosy przypominające żyjące własnym życiem płomienie.

Był jeszcze trzeci element, którego nie sposób było pominąć – zwykły, łaciaty kundelek, co opierał swoją włochatą mordkę na jej stopie, a ona od czasu do czasu nachylała się, żeby go pogłaskać po łebku. Piesek czasem odbiegał na pewną odległość, jednak szybko zawracał,

jakby był uwiązany do jej stopy niewidzialną nicią. Kiedy padało, wciskał się pod jej płaszcz, tulił do wysuniętej nogi, a kiedy przestawało padać, otrząsał długą sierść z kropli.

Cała ta trójka mogłaby się komuś przyśnić, gdyby miał na tyle rozbudzoną wyobraźnię, aby śnić o rzeczach niepospolitych i rzadko spotykanych. Ale ani ludzie schodzący do metra, ani wyłaniający się na powierzchnię nigdy o czymś takim nie śnili. Dla przechodzącego tłumy ważniejszy był humor szefa w nudnej i monotonnej pracy, zaległa rata kredytu, a szczytem marzeń – dziesięcioletni samochód kupiony w komisie.

Nikt nie wiedział, kto wyrzeźbił maskarona ani kto go umieścił nad wejściem do stacji metra. Nikt nie znał imienia ani nazwiska rudowłosej kobiety śpiewającej starodawne pieśni w archaicznym języku. Nikt nie słyszał, żeby kobieta wołała swojego kundelka jakimś przezwiśkiem. Cała trójka przypominała niedokończony fragment baśni, choć może nie nadawała się ona na lekturę dla dzieci wyciągniętych przy rozpalonym kominku.

Ja też zadawałem sobie wciąż to jedno niezmiennie pytanie: dlaczego ci bezimienni ludzie spieszący do metra nigdy nie podnosili głowy? Dlaczego szli w tłumie ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby pod własnymi stopami szukali odpowiedzi na pytanie o sens swojego

istnienia? Czy przynajmniej jedna z tych osób zatrzymała się choć raz? Czy przystanąła i rozejrzała się wokół siebie choć na jedną chwilę? Nie. Płynęli jak niezatrzymany niczym strumień, jak magma, która nie posiadała ani myśli, ani uczuć. A przecież być może mijali coś niepowtarzalnego? Może tracili jedyną okazję, żeby zobaczyć fenomen tak odmienny od ich własnej szarej egzystencji? Czy rozumieli słowa starodawnej ballady? Czy mogli, czy byli w stanie rozpoznać ją i zapamiętać? Czyż nie takie właśnie chwile składają się na nasze szczęście, dla nich już na zawsze niedostępne?

Komu jak komu, ale mnie na pewno nie wypadało zadawać takich pytań. Bo może ja jeden nigdy nie szukałem na nie odpowiedzi. Czy zresztą też od pierwszego spojrzenia dostrzegłem niezwykłość tej sytuacji? Moje odczucia były tak banalne, że aż śmieszne. Ot, stoi sobie rudowłosa dziewczyna przy wejściu do metra, uderza rytmicznie w struny starej gitary i coś śpiewa, co nie jest podobne do niczego, co nie ma w sobie najmniejszego podobieństwa do tego całego bełkotu, jaki serwowały nam na co dzień środki masowego przekazu. Ja też odchodziłem i zapominałem, choć widowisko samo rzucało się w oczy. To nie był zwykły widok, spotykany wszędzie krajobraz, to nie była jeszcze jedna figura woskowa, jakie widywano na wystawach ekskluzywnych

sklepów.

Ale w końcu zawsze nadchodził zmierzch. Każdego dnia nadchodzi jakiś zmierzch. Był wczoraj i przedwczoraj, nastąpi i dziś, i jutro. Zapadnie o określonej godzinie i – mimo wszystkich odczynianych uroków – z ciemności wyłonią się demony. A śpiewające wróżki, których nigdy nie zauważamy, znikną za rogiem ulicy, przy której mieszkamy, i towarzyszyć nam będzie przez jakiś czas tylko kudłaty kundelek, tulący się do naszej nogi.

A życie polegało na tym, że było. Ten świat dawał niepowtarzalne szczęście tylko dlatego, że sam był powtarzalny. Nie było drugiej takiej ulicy, nikt nigdzie nie widział podobnego wejścia do metra, a i to tylko nieliczni przyjezdni w ogóle byli w stanie zauważyć. Dla innych stanowiło wyłącznie jakiś drobny i nieważny fragment ich monotonnej egzystencji, gdzie każdy skład przyjeżdżał zawsze o czasie, a kiedy zapadał zmierzch, rudowłosa dziewczyna z pudłem na gitarę przewieszonym przez ramię zniknęła zawsze za tym samym rogiem ulicy.

I tak, każdego dnia tuż obok Rudowłosej dreptał niewielki kundelek, od czasu do czasu spoglądając w górę, jakby się bał, że bez swojej pani zabłądzi. A ona szła wyprostowana, dumna, patrząca zawsze wprost przed siebie, kiedy tylko na niebie purpurową linią zaświecił

horyzont. I spoglądał w ślad za nią zaledwie smętny maskaron, którego na pośmiewisko dla ludzi ktoś umieścił nad wejściem do tunelu.

Gdzie szła? Dokąd zmierzała, kiedy tylko opuszczała swoje miejsce koło wejścia do metra? Czy w jej życiu był jeszcze ktoś, do kogo się spieszyła, dla kogo śpiewała? Czy może rozwiewała się i znikwała jak mgła w rozgrzanym powietrzu? A tuż obok niej podskakiwał piesek, żeby choć w przelocie polizać wyciągniętą w jego kierunku rękę.

Któregoś dnia ruszyłem za nią, kiedy tylko dzień pożegnał nas ostatnim promieniem słońca. Jej tajemnica stała się teraz moją tajemnicą, a jej życie – moim życiem. Kiedyś może poznam jej imię, stanę się jej nieodłącznym cieniem, ale jeszcze nie dziś i nie teraz. Nie chciałem spłoszyć mojej rudowłosej rusałki zbyt natrętnym pośpiechem.

Ale czy w ogóle zauważyła, że ktoś za nią idzie? Czy też oglądała się za siebie, bo przyzwyczajenie było silniejsze niż ja? Gdzie nauczyła się swojej niewidzialności, którą traktowała jak największe szczęście, jak parawan oddzielający ją od pospolitego świata? Gdzie mieścił się jej dom? Jej klatka schodowa? Jej mieszkanie? I na którym piętrze? Co zrobi, kiedy wróci do siebie?

Tymczasem opuszczałem ją, kiedy tylko zapadał

zmierzch, i mieszałem się z rzadniejącym tłumem, wylewającym się coraz cieńszym strumieniem z podziemia. Wiedziałem, że za niedługo zapanuje tu bezruch, cisza. I tylko wiatr będzie unosił w powietrzu przedwczorajsze gazety. Czy ten dzień był zwyczajny? Nadzwyczajny? I kto mi opowie resztę?